



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

CIEŻKIE CZASY.

III.

Praca kobiet.

Kwestya pracy kobiecej urodziła się z ciężkich czasów. Była to zawsze i wszędzie ważna kwestya rodzinna, domowa, przecież obecnie stała się ona społeczną i jako taka zaprzęta umysły, daje pewne nagiecie wychowaniu dziewcząt. Już nie tylko ubogie klasy ludowe myślą o uzdolnieniu córek do pracy zarobkowej, rozszerza się to coraz i do tych warstw zamożniejszych, gdzie dotąd niebawo troski podobnej, a obniżająca się wszędzie i stale liczba małżeństw, zwiększająca się coraz liczba kobiet samotnych, usprawiedliwia tę przeczność rodzicielską. Niebogata a pozostawiona siłom własnym, gdy z czasem zabraknie jej rodzinnego domu, musi pracować, aby żyć, więc trzeba uzdolnić ją do tego, i we wszystkich większych miastach naszych powstają zakłady kształcące kobietę w rozmaitych gałęziach artystycznego i rzemieślniczego przemysłu. Na zachodzie Europy zaczęło się to owiele wcześniej, niż u nas i odbywa się na skalę owiele szerszą; praca kobiety zaczyna współzawodniczyć z pracą mężczyzny i pracuje już nie tylko samotna. Trudności utrzymania, które staje się coraz droższem, skłaniają często mężatkę i matkę rodziny do pracy zarobkowej, co już jest nieszczęściem i klęską moralną, zwłaszcza jeżeli ta praca wywołuje ją poza dom, bo dobre wychowanie dzieci, prawdziwe szczęście małżeńskie, cierpi na tem, i żadne powiększenie dobrobytu materialnego nie wynagrodzi strat, z tego źródła płynących, gdy matka

nad dziećmi nie czuwa, nie chowa ich, nie urabia ich osobistości siłą tego wpływu macierzyńskiej tklivosti, która się nigdy i przez nikogo zastąpić nie daje—gdy mąż nie może już znaleźć w tej tak jak i on zmęczonej robotnicy owej pogodnej, słodkiej, wdzięcznej towarzyszkii swojej, która tylko uchować się może u ogniska domowego.

Świat i ludzie, twarda praca na chleb, ścieranie się różnych, a często wrogich, sprzecznych sobie interesów, źle o oddziaływa na idealniejsze strony natury ludzkiej, na jej uczuciowość, świeżość ducha, na łagodniejszy, miłośniejszy pogląd na ludzi i w tem-to znaczeniu powiedziano o kobiecie, że jest poezją domowego ogniska. Mogąc uchować tam wszystko to, co mąż tracił w walce ze światem, przedstawiała mu ona wspomnienie młodości jego i przez oddziaływający tak wpływ miękczyła, co mu w sercu twardnił, kamień zaczynało—zatrzymywała, co uchodziło. Mężczyzna mógł wtedy odświeżać się duchem obok kobiety, mógł odżywać sercem, co przecież musi z konieczności przepadać, gdy i ona jest podobną mu pracownicą, a dodać trzeba, że na niej, jako na mniej silnej i odpornej, bo wrażliwszej, więcej uczuciowej naturze, takie twarde próby życia zostawiają mocniejszy ślad odcisku swego.

Ginie też wskutek takiego układu rzeczy rodzina, pojęta według dotychczasowego jej wśród ludzkości ideału, giną wszystkie jej słodkie, dodatnie strony i pozostaje jedynie wspólka jakaś mężczyzny i kobiety, dla zabezpieczenia wzajemnych interesów zawarta, i to jest jedna z przyczyn i najważniejszych, które czynią pracę kobiecą kwestyą społeczną. Myśliciel wpada nad nią w zadumę smutną, moralista lęka się jej następstw, które przetworzą ludzkość, bo będzie ta ludzkość coraz tracić ciepło swoje, będzie stygnąć sercem! Że kobieta straci na tem najwięcej, to zrozumieć łatwo, bo w tem dotąd le-

żała jej siła—w uczuciu, przez które panując równała się z mężczyzną, który inaczej czyż jej nie przeskoczy, nie przemoże, stając z nią do miary na jednym i tym samym poziomie?

Cóż przecież, skoro ciężkie czasy gniją nas i srogą swą koniecznością zmuszają do tego?

Najpierw może nasuwać się umysłowi pytanie: co jednak jest powodem tych czasów w ciężkich które nas tłoczą tak okrutnie? Odpowiedź musiałaby być długą, musiałaby dotyczyć wielu i rozmaitych szczegółów społecznego układu nowożytnych narodów, na co tu miejsca niema. Bezpośrednią przyczyną zmiany, która wywołała kwestyą pracy kobiecej, jest to, że handel i przemysł następuje na pracę domową, na pracę w rodzinach dokonywaną, że ją zabija tak, jak fabryka, operująca milionami, zabiła już przemysł jednostek, pracujących niegdyś w warsztatach małych na własny zysk i rachunek, i wytworzyła tę okrutną kwestyą, dla której niedawno tysiąc belgijskich kobiet w żalobie przyszło błagać króla o życie i wolność ich mężów. Niegdyś domowa praca kobiety zaspakajała znacznie większą część potrzeb rodziny w kierunku żywności i odzieży, przemysł domowy chwycił się nawet rozmaitych rzemiosł; w niedawnej jeszcze przeszłości miasta nawet prowadziły takie gospodarstwo, i zapewne mniej wykwinutę, mniej eleganckiego wyglądu, ale w pożywieniu zdrowsze, w odzieży trwalsze, były te jego wyroby. Praca kobiety zachowywała tym sposobem grosz rodziny, która nie ubożała przez wydatki nieustanne, i jak dziś jest jeszcze w rodzinach włosciańskich, córki opłacały się domowi przez pracę swoją, której im nie brakowało, i nie potrzebowały iść na poszukiwanie zarobku, chyba w wyjątkowych już razach.

I dodać trzeba, że szły łatwiej za mąż, bo nawet bardzo mało zamożny człowiek nie lękał się małżeństwa z takimi jak dziś wydatkami, dwojącymi się gdy dziecko przybywa rodzinie. Żona umiejąca i chcąca pracować, nie zbiegała za zarobkiem od

domowego ogniska i nie było też—kwestyi pracy kobiecej, wywieszanej na forum spraw publicznych.

Powtórzę, że handel i przemysł cięży dziś na rodzinie, że wypychając domową pracę kobiety, rodzinę te rozbija—podważa ją w jej odwiecznych podwalinach. Kobieta u ogniska domowego pracuje dziś mało, więc gnusnieje, i ulega tem wszystkim złym skutkom moralnym, które bezczynność i próżnowanie sprowadza za sobą. Każda istota ludzka posiada jakieś ziarno ambicji, ma swój jakiś punkt honoru—Niegdyś kobieta czynnie gospodarstwem była zajęta, niestety, w którym wszystkim jest za gotowy grosz nabyte, ale tem, którego ona była poniekąd twórczynią, które uważała za własne dzieło swoje, owoc przemysłu jej i pracy, czyniła przedmiotem dumy swojej. Każdy z nas znał jeszcze kobiety takie, chlubiące się z tego, co one same w domu zrobić potrafiły. Dziś, jeżeli nie zniknęło to zupełnie, to znika już, i obecnie gospodni domu, zatraciwszy ową ambicję dawną, przenosi ją na punkt inny—wystawności, świetności, elegancji, która wszystko ogarnia, aż do niesłychanego nigdy strojenia dzieci, do niebываłej wytworności własnego ubioru.

Ciężkie czasy muszą w takich warunkach odbijać się rozpaczliwie na rodzinie. Każde następujące pokolenie uboższem jest w środki odporu, i matka, niepewna już o przyszłość córki, lękliwie w nią patrząc, zaczyna uspasabiać dziewczę młode do pracy pozadomowej, mogącej być kawałkiem chleba dla samotnej, lub wspomódz małżonkę człowieka, którego własna tylko praca jużby ciężarowi rodzinnego istnienia nie podołała. Przecież kobieta dobrej woli i rozumu, wnikająca w przyczyny tak zmienionych stosunków, może się jednak oprzeć tej sile, działającej w stosunku do rodziny odśrodkowo—może dom swój uczynić mocną twierdzą, do której nie wtargnąłby—nie już zbytek, ale ten dobrobyt łatwy, bo gotowy, bez trudu gospodarczej pracy kobiety, za cenę znoju jej męża, lub z zasobów rodziny nabywany. Tą drogą, nawet przy oszczędności, przy wyrachowaniu bardzo skrzętnem ucieka, a raczej powiedzieć trzeba: wycieka, jak woda, sącząca się kroplami, zamożność rodzin, ubożających coraz więcej, gdy drugostronnie handel i przemysł pozyskuje sobie coraz więcej dostatków, gromadzi kapitały bajeczne, bogaci się tym składanym mu groszem, który dawną praca kobiety zatrzymywała dla domu w całej tej części, która w przedmiotach, przez rodzinę spotrzebowanych nie była wartością surowego materiału. Ze cena kupowanego wyrobu często wartość tę przenosi, a zawsze ją przepoławia—wiedzą wszyscy, co nad stosunkami tej natury chcą i umieją się zastanawiać, bo każdy towar musi w cenie swojej obejmować koszt wyrobu, obok procentu, jaki przedsiębiorca, którego własnością jest fabryka, zakład jakiś wytwórczy, pobierać musi od wyłożonego kapitału, i to jest zyskiem, bez którego przedsiębiorstwa-by nie prowadził. W gotowym przedmiocie wszelkiego użytku, płaci rodzina za wszystko, co się z tym przedmiotem łączy w sposób wieloraki—płaci aż do trudu rąk, który jej go w sklepie podają, płaci za ten sklep, za sklepu tego opał, oświetlenie, czystość przyzwoitą—za wszystko, czego koszt kupujący musi ostatecznie ponosić, bo przecież dla jego użytku wydatki te czynionemi były. Płaci się to w towarzystwo nabywanym, i jakkolwiek fabryka, wyrabiająca w ilościach wielkich, może produkować taniej, niż ktoś robiący to na własny, ograniczony użytek, niemniej dla rodziny jest to zawsze drożej—jest drogo, bo wydać musiała zawsze coś za tę pracę czyjąś, która wykonana siłami domowymi, nie kosztowałaby nic.

Ziarno do ziarna, tworzy się miarka: otóż brak tej miarki, wytworzonej z drobnych lecz ciągłych oszczędności, którą w wydatkach rodziny przedstawiała niegdyś praca kobiety, podkopuje obecnie byt rodziny!

— Podkopuje go głównie zbytek nowoczesny, nowoczesny komfort, nowoczesne pragnienie używania.... ktoś dopowiedzieć może, i nie będzie się mylił w twierdzeniu swoim; przecież wszystko to w całym zakresie życia rodzin wiąże się ścisłym węzłem z pracą kobiety. Nie

zbytkuje nigdy ten, kto na zbytek ów sam pracować musi, bo na te dwie rzeczy, razem złożone, i sił i czasu nie starczy, przytem jest w moralnych oddziaływaniach pracy moc wielka, która od tego broi. Praca daje ludzkości powagę myśli przez konieczne myśli tej skupianie na przedmiot swej pracy, która zawsze jakiś mniej więcej poważny cel posiadać musi—cel czy dla rozumu, czy dla uczuć naszego serca. Więc życie osoby pracującej już nigdy bezcelowem nie jest, więc nie cierpi już ona na czczość, na nudę, która jest uczuciem próżni; człowiek pracujący ma zajęcie, a ogromna to dźwignia moralna, tarcza przeciw pokusom zzewnątrz bijącym, dla których niema przystępu w życiu czynnem, pracowicie zajętem.

Lud wszystkie *przeszkadzające* ludziom złe moce mieści wśród pustek i nieużytków, miejsc odłogiem leżących, i dyabeł z fantazyi ludowej miesza też zawsze na trzęsawiskach lub wydmach, pługiem pracy ludzkiej nieprzeoranych. Tam-to straszy on, tam nagabuje ludzi, na manowce ich wywodzi, a ziarno głęboko filozoficznej myśli kryje się łuskwinach tych bajek fantastycznych. Pokusy przebywają tam, gdzie praca ludzka ich nie wystrasza i jest to mojem najgłębszem przekonaniem, że obniżenie moralności rodzin postępuje w równym stosunku z obniżeniem się domowej pracy kobiety, bo zaczyna tam wtedy przeszkadzać bolesne i niewytrzymałe dla żadnej istoty ludzkiej uczucie próżni—próżni bezcelowego, niezajętego istnienia. Talenta, książka!... wszystko to są rzeczy bardzo piękne i miłe, ale wszelki artysta, wszelka naukowość, jeżeli nie jest podniesioną już do siły twórczej, nie może zapełniać życia tak, aby nie zostawiała w niem luk niebezpiecznych. Bóg, który stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, stworzył go więc na istotę z przeznaczeniem twórczem, i koniecznością to jest każdego życia, które na niebezpieczne wyboje zboczyć nie chce, aby miało pracę zdolną coś wytwarzać, dokonywać jakiegoś dzieła, któreby ożywiało się techniem własnego, wlanego weń ducha swego twórcy. A cóż robić będzie kobieta, której mąż dostarcza środków utrzymania rodziny, jeżeli gospodarstwo jej ograniczy się jedynie do pewnego dojrzenia, pewnej pracy służących? Wymaga to wprawdzie niejakego zużytkowania woli i energii, myśli gospodarczej, ale mało to jest, niezmiernie mało, jako zajęcie poważne i nazwy tej godne, jeżeli nie dołoży się tu pracy własnej—to jest pracy właściwej, tej, która jest rzeczywistym trudem, coś przysparzającym, wydającym jakiś dotykalny owoc działania swego.

Przecież kobieta w rodzinie jest matką i chowa dzieci. Lecz jakżeż to mianowicie w tem dziele wychowawczem pracuje? Czy karmi niemowlę, czy szyje potem odzież dziecka, czy dalej uczy je, gdy z biegiem czasu, potrzeba tego się okaże? Jeżeli tak nie jest—jeżeli matka ogranicza się do niejakego dozoru nad mamką, nianką, nauczycielką, znowu powtórzć trzeba, że tej pracy wychowawczej, tak jak poprzednio pracy gospodarczej, jest mało—za mało, jako zajęcia poważnego i godnego tej nazwy. U najlepszych kobiet przeradza się to w złe wielkiego znaczenia, bo zwykle pieści ona wtedy dzieci nadmiernie, chowa je w skutek tego miękko i czyni się z nich istoty niedołężne, a w dodatku, który według miary większej zamożności potęguje się i wzrasta—zamienia je w strojne lalki i zatrzuwa moralnie, popycha duszyczki młode na tory nędznej, niskiej małości i wychowuje się je na nieużyteczne, na szkodliwe w społeczności swej istoty.

Życie, któremu praca—praca prawdziwa, w jakim bądź zakresie twórcza, nie doda *wagi* swojej, nie wytworzy celu i zajęcia, nie otworzy ujęcia dla ambicji, mieszcząc się koniecznie w każdej średnio szlachetnej istocie ludzkiej—życie takie pozbawione *powagi* musi się stać lekkomyślnem i zawsze też takiem się ono robi, a wtedy zły duch z pustek i odłogów przystępuje do niego w pragnieniu zabaw, w pożądaniach zbytku, używania, i wtedy rodzina ubożeje, utrzymuje się w najlepszym razie z dnia na dzień, nie odkłada nic, nie wytwarza sobie żadnego zapasu na przetrwanie ciężkich czasów, które bogdaj czy nie ona sama

stworzyła, jeżeli wzięta zbiorowo przedstawia znaczną sumę niedoborów pracy w narodzie.

(Dokończenie nastąpi)

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Serce mu drżało z niepokoju, jakby w przeczuću czegoś złego.

— Wyszła — odpowiedziała obojętnie sługa.

— Dawno?

— O, jeszcze przed obiadem.

— A dziecko?..

— Dziecko Zuzia zanosła do starszej pani.

— Zapal mi lampę.

Tych kilka chwil, które przebył teraz w ciemności, wiekiem mu się wydawały; gnębiła go jakaś niepewność, jakiś niepokój; pierwszy raz uparczywa myśl wciskała mu się bezustannie do głowy i powtarzała:

— Wyszła... z dzieckiem... a nuż nie wróci?..

Przypomniawszy sobie wszystkie szczegóły rannej rozmowy z żoną, jej rozdrażnienie, jej oczy pałające gniewem i słowa:

— Choćbyśmy się rozejść mieli...

Pierwszy raz owiała go jakaś pustka w jego własnym domu.

Miałaby to być już zapowiedziana katastrofa, rozłączenie?... to niepodobna. Najobojętniejsi ludzie nie rozchodzą się w ten sposób, a przecież Helena go kocha i wie, że jest kochaną...

Jednak czy jeszcze kocha?..

Pytanie to postawił sobie teraz poraz pierwszy i na myśl przyszedł mu Pielski, przyszły wszystkie skargi i wyrzuty żony, całe jej postępowanie oddawna, wzrastające ciągle niezadowolenie, i serce ścisnęło mu się nowym bólem. Zaczął szukać w pamięci objawów jej miłości i przywiązania, i nie mógł znaleźć nic takiego, coby go przekonać mogło, że te uczucia w piersiach Heleny gorzały dla niego rzeczywiście. Wzrastający chłód, obojętność, a w ostatnich czasach widoczna niechęć cechowały stosunek żony z nim.

Jak rozbitek chwytający się każdego żdźbła, Filip najdrobniejszych dowodów życzliwości się chwycił, by tylko nie zwątpić zupełnie o zobojętnieniu Heleny.

Nie czuł w tej chwili, że miłość jej nie byłaby go może uszczęśliwiła, ale bez przekonania o tej miłości życie dla niego szło głębiej w przepaść, dla niej na manowce.

Reflexy jego przerwała służąca ze światłem; odebrał jej z rąk lampę i, rozglądając się po pokojach, przeszedł aż do sypialni żony i dziecka. Wszystko tu było, jak zwykle, żadnego śladu ni pozorów, któryby jego przypuszczenia mógł potwierdzić, a jednak kołatało mu dalej serce niepokojem. Zdawało mu się, że gdzieś na stoliku, na gotowni Heleny, na biurku swoim musi znaleźć kartkę, list z fatalną dla siebie wiadomością: „Nie wrócę więcej.”

Dlaczegożby tak długo nie wracała od matki, dlaczego dziecko zabierała z sobą, kiedy nigdy tego przedtem nie czyniła, wiedząc, że mąż nie lubi owych przydługich wizyt na pierwszym piętrze.

Z uporem fatalisty szukał i nie znalazł nic w całym mieszkaniu.

Postawił lampę na biurku i usiadł przy nim zamysłony, blady, zdenerwowany moralną walką dnia całego.

Miał bardzo prosty środek posłać służącą do świekry swojej i dowiedzieć się: dlaczego nie

wracają; w każdym innym wypadku byłby to uczynek, dzisiaj nie śmiał.

Nie był pewnym, jaką odpowiedź przynieść mu może służa.

Nad wyraz drażliwa jego natura sprzeciwiała się temu. Postanowił zdecydować się na coś najtrudniejszego dla siebie w danych warunkach: pójść osobiście po żonę. Tak dawno nie przekraczał progę teściowej, wizyta każda stawała się dlań niewolą, przykrością, poświęceniem, czuł instynktownie tę niechęć, żal, lekceważenie, jakie żywiła dla niego Okulska.

Energicznym ruchem sięgnął jednak po kapełusz i wyszedł.

Jedno piętro dzieliło ich tylko od siebie; za kilka chwil stał już przed drzwiami świekry i rękę kładł na porcelanowej gałce od dzwonka.

Za drzwiami usłyszał wesołe głosy i śmiechy kobiece, w których rozpoznawał głos Resi i żony; ktoś siedział przy fortepianie i grał piosnkę o przepióreczce, ktoś inny klaskał do taktu w dłonie, a wśród tego rozbrzmiewał szczebiot dziecka i wesołe jego chychotanie. Stefanek zapewne na rękach babci bawił się i podniecony muzyką z rumianą buzią, w której każdy uśmiešek wyzłabiał rozkoszne dołki, przebierał pulchnymi nóżkami na jej kolanach.

Filip zawahał się; z ręką na dzwonku stał nieruchomy i słuchał, z każdą chwilą opuszczała go teraz energia pierwszego postanowienia.

Po co miał wchodzić, jak widmo kommandora, w tę wesołą drużynę i zamacać jej widokiem swoim zabawę; wiedział, że zjawieniem się swoim od razu rozstroi ten humor i zgłuszy swobodne śmiechy, że oprócz dziecka, nikt do niego rąk miłośnie nie wyciągnie na powitanie.

Cofnął się i oparty zlekka o drzwi przez dziurkę od klucza starał się dojrzeć cokolwiek w oświetlonym saloniku teściowej, z którym przegradzała go w tej chwili stokroć większa przepaść, niż sam tylko przypokój.

Opuściły go złe przeczucia; ten śmiech za drzwiami i wesołość dodały mu znowu otuchy. Wiedział, że żona wróci, że przypuszczenia jego były tylko rozgorączkowanej wyobraźni skutkiem.

I dziwna rzecz: w tej sytuacji na poły śmiesznej, ten człowiek skradający się pode drzwi rodzinnego domu, jak złodziej, by przez dziurkę od klucza spojrzeć na swoje własne dziecko i żonę, czuł się teraz swobodniejszym i bardziej zadowolonym, niż gdyby wśród swoich, w salonie teściowej cały wieczór mógł być przepędzić.

Na dole z trzaskiem otwały się oszklone drzwi i czyjeś kroki dały się słyszeć na parterze. Filip, jak złoczyńca spłoszony, odskoczył od klamki i na palcach wbiegł na drugie piętro do swego mieszkania.

W godzinę później Helena wróciła ze Stefanikiem do domu; nie spojrzawszy nawet na męża, z surową twarzą i pochmurną poszła do swego pokoju i tego wieczora już mu się więcej nie pokazała.

— Jednak wróciła—szepnął do siebie i coś podobnego do uśmiechu przemknęło mu przez usta.

Stefanek okutany szalem i chustkami na rękach piastunki, śmiał się jeszcze wspomnieniami dobrej zabawy u babci; oczki miał zaiskrzone, twarzyczkę silnemi rumieńcami zabarwioną, dziecięce psoty ożywiły go tak, że za nie w świecie nie chciał się dać rozebrać i ułożyć w łóżeczku.

— Tatal... tatal!—wołał raz poraz, napierając się do ojca, który w jego pocałunku pierwszą dziś chwilę ukojenia i radości odnalazł.

VI.

W ostatnim numerze *Świstka* powszechną uwagę zwracała karykatura nie podznaczona ostrożnie przez złośliwego rysownika, a zatytułowana „Biednemu zawsze pod wiatr“; skopiowano tu utwór Filipa, który od niedawnego czasu zajął miejsce na wystawie sztuk pięknych, ale zmie-

niono allegorią na rodzaj dokuczliwego paszkwilu.

Ow biedak w łachmanach dzwigał pod pachą dwa worki pieniędzy, zamiast sakiew wędrownych. a wpatrywał się z otwartymi ustami w słońce, które w kształcie pieczonego gołąbka wisiało przed nim na niebie i zdawał się z lubością smakosza wciągać zapaszek drażniący jego powonienie.

Nie byłoby w tem jeszcze żadnej osobistej aluzji do Filipa, gdyby humorysta nie był rysem owej skarykaturowanej postaci nadał pewnego podobieństwa z Morellem.

Chodziło widocznie o szykanę, o dokuczenie artyście, któremu zazdrośczonego talentu, powodzenia, rozgłosu, pozorów dobrobytu i szczęścia w małżeństwie z najładniejszą, a jak utrzymywano, bogatą i posaźną panną.

Pszonka nie przyznawał się głośno do tego podłego podstępów i złośliwości, ale pierwszy w dyplomatyczny sposób zwracał uwagę wszystkich na aluzję osobistą w *Świstku*.

— Czy i pan znalazł jakie podobieństwo do kogo w dzisiejszej karykaturze z Wystawy? — pytał obojętnym na pozór i dobrodusznym tonem każdego niemal nowego gościa w Dołku.

I zaczynało się poraż dwudziesty przeglądanie pisemka, żyjącego skandalem, rzucanym na przynętę łakomej gawiedzi.

— No, tak... coś... coś przypominają te rysy; ależ niewątpliwie, to przecież Morelli!... — wołał ten i ów po obejrzeniu rysunku, którego twórcą był wysoki Drała, chowający się bezimiennie za plecami głównego redaktora.

Pszonka udawał oburzonego i nie chciał wierzyć, zakładał na gruby swój nos rogowe binokle i niby z wielką uwagą przypatrywał się sam swojemu pismu, aby go po chwili podstawić znów komuś przybyłemu ze słowami:

— Patrz-no pan, czy to podobne do Morellego?... Niewiadomiec utrzymuje, że to żywy portret naszego Michała Anioła, ale Niewiadomiec to przecież znany plotkarz i intrygant. Chce mnie pewnie wplątać w kabałę i takie bajki rozpuszcza po mieście; jeszcze mi proces na łeb zwali!...

Rimmel skakał przy nim uśmiechnięty złośliwie, ręce ukradkiem zacierał i z jezuicką miną udawał, że nie może się dopatrzyć ani śladu podobieństwa wbrew ogólnemu twierdzeniu.

— To jest — mówił swym słodziutkim głosem — możnaby na upartego dostrzedz w tem jakąś niewinną satyrę, gdyby koniecznie o Morellego chodziło; niby człowiek zamożny, szczęśliwy, któremu pieczone gołąbki same lecą do gąbki, a który chce uchodzić niby za... ale gdzieżby tam znowu!... prawda?... zresztą, cóż w tem tak złego, Boże jedyny; ot, niewinny żarciolek, nawet powiem reklamka, za którą nie jeden byłby panu redaktorowi wdzięcznym.

Podczas tego, gdy humorystyka dotykała artystę tak błazeńską grzechotką, w której zamiast dzwoneków ostre szpilki sterczały, poważna niby krytyka zapomniawszy o zachwytach nad pierwszemi jego pracami i własnem zamianowaniu go: „naszą znakomitością“, obrzucała teraz ostatnie jego dzieło gradem zarzutów.

„Pan Morelli nie dotrzymuje, niestety, tego, co zapowiadał—pisał jakiś surowy znawca ukryty aż pod trzema X-ami;—pomysłowość jego zaczyna wydobywać dziwactwa niezrozumiałe, mgliste, nie odpowiadające naturze rzeźby, która lubuje się w spokoju i harmonii. Ze smutkiem patrzaliśmy na tego glinianego obszarpańca na wystawie sztuk pięknych, któremu artysta dał pretensjonalny tytuł: „Biednemu zawsze pod wiatr“. Wiatru tego za dużo i w rozczochranych włosach bosego bohatera i w łachmanach, któremi się otula. To uplastycznione przysłowie uważamy za dzieło zupełnie chybione, tem bardziej z podpisem artysty, którego talent w wyjątkowo szczególnych warunkach moralnych i materyalnych mógłby się rozwijać owiele pożyteczniejsz dla sztuki. Pod względem wykończenia uderzyła nas także niedbałość niewytłomaczona niczem u twórcy „Satyra“; zauważyliśmy brak paznokcia na wielkim palcu u lewej ręki i łydke jedną grubszą od drugiej!...

Krytyk, który tak pilnie studyował łydki i paznokcie posagu, nie miał czasu zwrócić uwagi na głowę i wyraz twarzy modelowanej znakomicie.

Ktoś inny pozujący na francuzki humor i dowcip pytał: „A co by się stało z Biedakiem p. Morellego, gdyby mu przyszła ochota odwrócić się do wiatru plecami?... cała praca byłaby od razu zmarnowaną i trzebaby zmienić tytuł na: „Koły z moim nie rad, to ja z swoim nazad“, albo „Głowę muru nie przebijesz“, lub *Nec Hercules contra Boream*.“

Publiczność źle uprzedzona przez prasę przychodziła wyszukiwać błędy, nie mając oka i poczucia dla zalet kompozycji. Ten i ów nie dowierzał głosom krytyki, ale nie śmiał przeciw niej występować, chociaż pomimo wyroku potępienia, czuł, że go coś przed tem „uplastycznionem przysłowiem“ trzymało tajemniczą siłą i przemawiało do duszy językiem niezrozumianego geniuszu.

U mamy Okulskiej przy herbacie czytano każdą recenzję z niezwykłym zajęciem, a im złośliwiej dogryzano w niej Filipowi, tem większe zadowolenie malowało się na twarzach panien i teściowej artysty. Dla nich ta porażka Filipa nie była przykrą, przeciwnie, gdyby to wypadło, byłyby przy sposobności każdemu Zoilowi z osobna podziękowały za surową recenzję. Same nie umiały sobie zdać sprawy z tego, dla czego im to przyjemność sprawiało.

— Ślicznie się twój pan mąż spisał!—mówiły do Heleny z uśmiechem udanego politowania;—prze-czytaj, jak go ścieli za ostatnie arcydzieło. Dobrześmy zrobiły, żeśmy tego cudaka na wystawie nie chodziły oglądać. Namówże go, aby zabrał to brzydactwo czempredzej i nie robił nam wstydu dłużej.

Filip zaciął usta po przeczytaniu pierwszej krytyki, którą mu czyjaś usługą ręką podkreśloną czerwonym ołówkiem nadesłała do pracowni; nie chciał się gnębić bardziej i rozdrażniać artykułami, w których instynktownie odczuwał stroniwość i zawzięcie, postanowił nie czytać dzienników przez pewien czas: ale tensam duch opiekunicy, co mu pierwszą recenzję podrzucił, czynił to systematycznie z każdą następną.

Artysta był przybity, nie bolały go docinki i złośliwe uwagi nad szczegółami jego dzieła; lecz bolało to zupełne niezrozumienie intencji w utworze, zapoznanie jego myśli, serdeczną krwią wykarmionej. Tyle przecież, jako człowiek wlał ducha w tę kompozycję, tyle z życia własnego wzięł do sztuki, a jednak nikt, nigdzie, ani słowem jednym nie zaznaczył śladu wrażenia, jakie artysta wywołać zamierzał.

Przybity, zniechęcony, upokorzony—zdecydował się biedny Morelli cofnąć swe dzieło z wystawy; pokochał je teraz jeszcze bardziej, odkąd go ludzie zrozumieć nie mogli, czy nie chcieli.

Pietrek z listem do kustosa wyprawiony i ludzie z tragami wrócili z niczem; zarząd wystawy dał artyście krótką, ale najmniej spodziewaną odpowiedź:

„Rzeźba pańska została wczoraj po południu sprzedana za oznaczoną sumę; nabywczynią jest pani N. S., która do czasu zastrzegła sobie bezimiennność. Dziś rano odebrano posąg, pieniądze w każdej chwili są do pańskiej dyspozycji.“

W pierwszej chwili Filip uwierzyć nie chciał własnym oczom. Więc mimo wszystkie przygany, pomimo potępienia przez krytykę znalazł się ktoś, który się poznał na wartości jego dzieła, odczuł je, rozłubował się w niem i zakupił pomimo dosyć wysoko oznaczonej ceny!... a tą tajemniczą osobą, ukrywającą się pod dwoma literami była kobieta.

Skutkiem reakcji, wrażliwy umysł artysty z jednego krańca przerzucił się w drugi; wróciła mu wiara w siebie, przybyło otuchy, pocieszenia, odwagi do dalszej pracy.

Błogosławił w duszy tę dobroczynną rękę nie za to, że mu tak hojnie sypnęła pieniędzmi w chwili krytycznej, ale za to, że się wyciągnęła ku jego dziełu z przyjaźnią i uznaniem.

Byłby darmo oddał swą pracę teraz, tak czuł się zadowolonym i nagrodzonym sowicie.

Szalej, który był właśnie obecnym w atelier Filipa i widział wrażenie, jakie na przyjaciela sprawiła wiadomość o zakupie „Biednego,” zerwał się z swoich krzeseł, na których drzemał, wyciągnięty swoim zwyczajem pod ścianą, i rzucając czapkę w górę, zawołał:

— Hurra!... kupuję biedę, to może i moję kupię. Winszuję ci, mój *maestro*, będziesz miał za co sprawić żonie nowe okrycie wiosenne a sobie buty, bo słuchaj, zauważyłem, że twoje nogi robią się coraz podobniejszemi do moich, zwłaszcza, od strony obcasów.

Od dłuższego czasu był to pierwszy u poety objaw lepszego humoru; po owym pamiętnym zajściu w Dołku, Szalej zmienił się, sposepniał, posmutniał, chociaż widocznie nie chciał przyznawać się do tego.

Kiedy owej nocy znalazł się na ulicy, wyrzuty z kawiarni po awanturze z Bzikiewiczem, z policzkiem palącym, wytrzeźwiony, ale ogłuszony zarazem, w pewnej chwili miotła nim wściekłość i żądza zemsty.

— Zabiję, zabiję! — mrucał przez zaciśnięte zęby — zduszę, jak szczenię. W twarz... w twarz wzięć z ręki takiego młokosa!... nie daruję.

Ale monolog ten przerywała ciągle jedna reflexya, streszczająca się w wyrazie, który go kłuł, jak cierniem, bezustannie; był to z całą pogardą rzucony mu w oczy wyraz: „pijaczyna!...”

Ten cynik szydzący sam z siebie, z jakąś dziwną lubością przyznający się głośno do swojego nałogu, w danej chwili uczuł się dotkniętym do żywego prawdą, usłyszaną z ust cudzych.

I to w takiej chwili, kiedy stał w obronie honoru, kiedy się umował za przyjacielem, kiedy chciał spełnić coś szlachetnego, odjęto mu prawo do tego tym jednym wyrazem, strącono go jednym słówkiem z tej moralnej wyżyny, na którą był wstąpił!

— Pijaczyna! — powtarzał — pijaczyna!.. to znaczy: precz... precz! z towarzystwa trzeźwych lajdaków, choćbyś był najuczciwszym pomiędzy nimi. Niema miejsca dla pijaczyny nigdzie, niema prawa dla niego odzywać się głośno; głos jego to przecież bełkotanie tylko... Dobrze ci tak, panie Wacławie, poeto, cha cha-cha!... dostajesz w twarz i nie śmiesz zdusić takiej kanalii na miejscu, bo cię większą siłą wyrzucają za drzwi; nie śmiesz zażądać satysfakcyi, którą łada głupiec mieć może, boś pijak, i nikt się z tobą na żadną broń, oprócz pięści, bić nie będzie. Ślicznieś się wykierował—pijaczyno!...

W ten sposób monologując, szedł ulicą pustą jeszcze i ciemną; mróz przejmował go powoli do kości, odkryta głowa parowała resztkami gorączki; zapiał paltot pod samą szyję, kołnierz postawił do góry i z rękoma w kieszeniach włókł się środkiem ulicy, przystając od czasu do czasu, kiedy mu jakaś cięższa myśl na mózg spadała.

Jak w mrowisku rozburzonym wirowały te myśli beładnie; wspomnienia dawno zapomnianych lat, wypadków, osób teraz nagle budziły się nie wiedzieć czemu, a wszystkie, jakby dla większego nacisku obelgi, której doznał przed chwilą.

— Widzisz, opoju—mówił sobie dalej poeta—wiesz, do czego doprowadził!... Scierka z ciebie została, wiecheć ludzki, gałgan. I dzisiaj wolno ci w oczy ciskać wszystko, boś nie człowiek więcej, ale bydlę. A kto temu winien? Kto, jeśli nie ty sam?... nie tłómacz się, nie wykręcaj, nie spychaj na innych—jesteś gałgan i basta.

Przypominały mu się lata jego młodości, i wstyd jakiś oblał mu czoło. Wszystko poszło na marne, wszystko nałóg szkaradny zohydził.

Czy tylko nałóg?...

Szalejowi przybywało zmarszczek na czole, powieki zaciskały się co chwila, jakby im wstyd było tej lzy, co z bardzo głęboka wznosiła się na rzęsy i wydostać się nie mogła.

Jakieś szlachetniejsze, choć pordzewiałe i rozstrojone struny w jego duszy odezwały się w nim dawno niesłyszczanym dźwiękiem. Odbijał przed sobą jakby generalną spowiedź całego życia.

Instynktownie same nogi zaniosły go przed niski domek w żydowskiej dzielnicy, nad którego bramą świeciła się jeszcze gazowa latarnia, i rzu-

cała jaskrawy blask na czerwonego kogutka z blachy, sterzącego jako godło nad szynkiem gospodarza poety.

Przez szczeliny okiennic widać było jeszcze światło wewnątrz i zgłuszony gwar dochodził z szynku.

Szalej przystanął; jakaś tajemnicza siła osadziła go na miejscu, chwilę się zawahał i zamiast do bramy zastukał do drzwi szynkowni z rozpaczliwą rezygnacją człowieka, który z długiej walki z samym sobą nie mógł już wyjść więcej zwyciężcą...

Zaspana żydówka nalewała mu po pięciu minutach drugi kieliszek żytniówki z arakiem, zgarbawszy wprawdzie pieniądze rzucone na ladę.

Zazwyczaj tęga głowa zaprawionego pijaka, tym razem po kilku kieliszkach wychylonych jeden po drugim, zawróciła się odrazu.

Szalej zatoczył się na ławę w ciemnym kącie szynkowni i mrucać niezrozumiałe wyrazy usnął.

Na drugi dzień obudził się u siebie z głową ciężką, jak ołów, dreszcze wstrząsały nim bezustannie, przed oczyma latały czarne muszki; nie podnosząc się z swojej sofy, próbował zebrać myśli i przypomnieć sobie wszystkie wypadki ostatniej doby.

Dopiero teraz spadły nań, jak obuchem, refleksye wobec których czuł się—bydłciem.

I wówczas to przez dwa tygodnie nie wychodził z domu; ogarnęła go niewysłowiona apatya, uczuł jakby wstręt do wódki pod wpływem reakcyi, która się w nim zbudziła.

Dopiero odwiedziny Filipa wyrwały go z tego stanu martwoty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LIII.

Wicek i Wacek, komedia w 4-ach aktach przez Zygmunta Przybylskiego, przedstawiona po raz pierwszy w Teatrze Rozmaitości dnia 13 Listopada 1886 r.

Nie miałem szczęściem komedyopisarzów jest to, że *humanum genus* w największej niedoli nawet śmiać się potrzebuje, a roześmiesz się byle czem. Sztuce wolno mieć swoje prawa; publiczność będzie miała zawsze swoje. Krytyka często daremnie zrywa sobie gardło; zagłusza ją śmiech kassujący na razie wszelkie jej wyroki. Ale „na razie” tylko, bo śmiech w publiczności przemija, a rozsądek zostaje. Ubawiony widz, niechający słuchać krytyki, zapytać się wreszcie musi samego siebie: „Z czego się śmiałem?” I wtedy po miłych złego początkach następuje koniec żałosny. Sposstrzega się, że istotnie śmiech był raczej skutkiem apetytu własnego, niż zasługą przyrządzającego kuchmistrza. Gdyby wzbudzenie śmiechu było funkcją spełnianą wyłącznie przez sztukę dramatyczną wesołą, ilużby już dotychczas świat miał wielkich komedyopisarzów i wielkich kompozytorów muzycznych w rodzaju lekkim! Ale, niestety, śmiać się można i w cyrku i na magiku, i na psach uczonych; a ta możność właśnie stanowi ciemną stronę bieżącej sławy komedyopisarzkiej. Bywają w życiu gromadnego człowieka takie stany i ugrupowania, w których dość tylko zadać w dudkę śmiechu, aby poruszyć zaraz całą orkiestrę. Gardła nabierają wówczas dziwnej jakiejś skurczliwości. Im czasy poważniejsze, tem większa skłonność do śmiechu. Ogromne powodzenie operetek w dzisiejszej ludzkości—idące w parze z pomyślnym rozwojem zakładów Kruppa—tłómaczy się tem anormalnem upostaciowaniem gardzieli i serc ludzkich. Podobno tak jest wszędzie w całej Europie, dramat poważny nigdzie nie popłaca; do sławy i krociowych, jeżeli nie milionowych, fortun, dochodzą autorowie wesołostek z muzyką i bez muzyki. Komedyopisarstwo przestaje być sztuką; staje się przemysłem, przy szczęściu — przemysłem bardzo zyskownym. Industria ta wytwa-

rza dziesiątki i setki sztuk głośnych, obiegających Europę, które do literatury należą chyba tylko przez to, że pisane są literami. Najlepszy rodzaj jest ten, w którym sztuka nowoczesna, sama podkasana, wygorsowana i perfumami przejęta, używa Tali do noszenia wody, a Euterpy do zmywania talerzy. Trudno! śmiać się potrzeba.

Sztuka pana Przybylskiego nie ma żadnej prawej wartości literackiej, ale ma dużą wartość bieżącą. Biegli zapewniają, że w teatrze Alhambra, który ją dla siebie zamówił, doczekała się przeszło trzydziestu przedstawień; zapewniają również, że p. Marcelli Trapszo, dyrektor trupy poznańskiej, na niej właśnie tylko odbił swe straty poprzednie i późniejsze. Jest to niemala zasługa społeczna: bo się i lud ubawił i pożyteczne przedsięwzięcie dramatyczne uniknęło może upadku. Śmiać się na sztuce p. Przybylskiego można — dlaczegooby się nie śmiać? Szlachcie zawojowany przez żonę, a podchmielony przez piwo; dwóch jarmarkowiczów wymykających się ciągle z domu, a rozpowiadających swoje figle i przygody; papo nadprzyrodzenie głupi, rozczulany przez dwóch benecwałów, za każdym razem, gdy się ma na nich gniewać; kamizelka wydobywana z tłómaczka podróżnego — i gorsze od kamizelki trzewiczki i kapelusik; stara panna, jako taka, na scenie, zawsze śmieszna; stara baba „Fikalska“, wyskakująca madrygały: wszystko to, choćby najgorzej obrobione było — a tak znowu nie jest — samą już sytuacyjnością swoją mogłoby rośmieszać. Wiadomo, jaką rolę w opowiadaniach, dramatach i w życiu gra śmieszna sytuacja. Pomysłowość komedyopisarzka miałaaby wielką dla siebie pomoc, gdyby ktoś chciał ułożyć wykaz wszystkich tych wązów bez wyjścia, z których jednak wyjście ostatecznie zawsze się znajduje. Na sytuacjach bardzo daleko zajechać można. Bierze się pewną formę zjawiskową człowieczeństwa i osadza się na pewnym miejscu, wywołując nieuniknioną przeciwstawność: komizm gotowy. Można go workami roznosić. Pisarz z werwą człowieka, z odwagą i rzutnością praktyczną — ma do rozporządzenia swego we własnej pomysłowości mnóstwo uciecznych momentów, na których skutek z pewnością liczyć może. Silnie wykuty, misternie wyrzeźbiony charakter, rozumny pod społecznym i obyczajowym względem układ całości, czystość i jedność sceniczna — wszystko, przez co się żyje w pięknotwórstwie dramatycznym — jakże często nie odbiera uznania we właściwym dźwięku i brzęku, jakże mało ludzi w sztuce rozpoznaje prawdziwą sztukę — ale na scenicznej sytuacji pozna się każdy. Nie wina to autorów: lepiej podobać się publiczności niż krytyce — publiczności całej, wszystkiej, różnospinowej, różnobarwnej. Wprawdzie teatr zbliża się przez to do cyrku, ale też i publiczność bynajmniej od cyrków uciekać nie myśli.

Nowa sztuka istnieje przez dwóch próżniaków sowizdrzałów, Wicka i Wacka, synów p. Klepaczkiego. Umieją ci synkowie na swoje jarmarczne wycieczki sprzedawać nawet las ojcowski, a co z inwentarzem, to już nie zadają sobie żadnego trudu. Ojciec gniewa się i zżyma, ale ponieważ autor odpowiednio ograniczył go w używaniu najprostszych władz umysłowych, kończy się więc każdy taki wybuch udobruchaniem. Ta trójka stanowi rzeczywiście rdzeń sztuki; ale autorowi chodziło o podparcie śmieszności powagą i dlatego jarmarkowicze nie broją do końca: jeden z nich staje się szlachetnym młodzieńcem, aspirantem poważnym do córki obywatelskiej; drugi z prawdziwym poświęceniem wyszukuje pieniędzy dla ojca ukochanej swojego brata. Ta metamorfoza nielogiczna i niepsychologiczna dokonywa się właśnie podczas produkcji choreograficznych owego starego straszdyła, baby Mindrzańskiej — na wieczorze, który roztacza się przed widzem *in anima vili*. Widocznie, nurtował fantazją twórczą Jacuś Lubowski; chciał autor pokazać pocziwego łobuza, w którym odezwał się człowiek, jak tam w galarecie prostactwa drgnęła energia samoistnego charakteru. Nie spostrzegł jednak p. P., że energia Jacusia, równie, jak i jego zanosć, tkwiła już w samym zaryso-

waniu postaci: Jacuś późniejszy rozwija się logicznie z pierwotnego; gdy tymczasem Wicek, czy Wacek p. Przybylskiego z drugiego aktu niczem nie jest podobny do Wicka czy Wacka z czwartego. To ustawienie głowy na niewłaściwym korpusie jest śmiertelnym grzechem sztuki, niemającej zresztą cnót wiele. O architektonice, o rozumnej celowości, bez której niema artystycznego pojęcia i wykonania, o harmonii, podbijającej rozmaitość pod prawa jedności, o organiczności, która, inaczej, niż w życiu, przejawiać się musi w sztuce, nietylko prawdą, naśladowaną, czy podchwytywaną, ale i potęgą założenia—o tem wszystkiem autor, poczynający dopiero swój zawód, nie ma jeszcze wielkiego wyobrażenia; ale je przez myślenie, pracę i cierpliwość zdobyć sobie może.

Jego gospodarny, zimny, a chciwy Niemiec Faust wchodzi tam, dokąd go żaden charakter, żaden motyw dany, naprawdę istniejący, nie wzywa, i jest rzeczywistym manekinem w sztuce. Złe zwiększa się jeszcze przez to, iż szlachcic Żymalski, na którego się Niemiec był zasadził, mając już nóż na gardle, a hańbę w domu, w nieprawdopodobny sposób przypina się do swego dziedzictwa, a owa zasadzka niemiecka, nietylko na rozwiązanie nie wpływa, ale nawet najłżejszego starcia nie wywołuje. Oboje, ten Faust z zasepioną p. Żymalską, która ma być lekkim cieniem domowej Kassandry, mogliby uwolnić widza od swego widoku.

Oni dwoje i trzeci jeszcze syn Żymalskiego Edward, przez którego budowa sztuki staje się wręcz nierozumną. Obok dwóch sowizdrzałów, którzy jednej książki w życiu nie przeczytali, dwóch próżniaków, dotkniętych zupełną ślepotą umysłową, a przecież mimo to wybijających się na poziom moralności, stawia autor młodzieńca z karierą naukową, człowieka wykształconego, siłami tylko własnego umysłu mającego sobie utorować drogę przez życie,—który jednakże pomimo tej podniosłości swojej spada bardzo szybko, bo jeszcze przed rozpoczęciem się sztuki, w przepaść niemoralności i fałszuje podpisy ojcowskie na wekslach. Dodać potrzeba, że ten fałszerz weksli absolutnie żadnej roli w sztuce nie gra, że ani umysłowością nie błyszczy, ani fałszerstwem się nie zabawia: jest biernym, nijakim, zupełnym widmem. Wobec tego nasuwa się pytanie: w jakim celu autor zespolił wykształcenie z niegodziwością, a ciemność dał za przyjaciółkę poczciwość, i dla osób komedii, i dla widzów tak niespodziewanie wyskakującą z ukrycia? Podejrzenie o tendencyjność narzuca się tu z taką siłą, że do odparcia go autor potrzebowałby mieć sprawę niesłychanie dobrą, a obrobnę mistrzowsko zręczną. Ponieważ zaś dotychczas drugą nie przekonał nikogo o pierwszej, musimy więc postawić domniemanie umyślnego obdzielenia mądrych występkiem, a głupich cnotą. Byłaby to apologia pocziwej głupoty, której podział: „pocziwe serce“, tyle u nas jeszcze uznania odbiera. Mimowoli odzywa się nam w pamięci słynna owa skarga p. Mieczysława Reya na hyperprodukcję inteligencji. Również i to zestawienie Edwarda z Wickami-Wackami wygląda, jak niebezpieczna sztuka łamana na trapezie zasad zachowawczych. Jedno z dwojga: albo wstrętna tendencyjność, albo niezręczność.

W sztuce jest humor, nietylko sytuacyjny, ale i charakterowy—przejawiający się w tem, co za pomocą słowa same charaktery z siebie wyrzucają. Pozwala on autorowi mieć nadzieję, że kiedyś pisać będzie, jeżeli sobie pióro inaczej za temperuje. Metodę, styl tworzenia zmienić potrzeba. Można albo pozostać przy pohulankach, jak obecna—w tem, co w niej jest szczerego—albo pójść dalej i wyżej: bawidełka cześć zostawić innym a humor i dowcip, jeśli się przyrodzony zasób nie wyczerpnie, oddać na usługi satyry i poważnej myśli etycznej i społecznej. Takich kedyopisarzów potrzebujemy; plewy śmiesznośtek dla śmiechu—dostarczą nam zawsze Francuzi. Każdy jest kowalem własnego losu. Póki czas, wartoby się zdecydować.

Pan Przybylski nie dopuszcza się herezyi językowych; jeżeli są usterki, to nieliczne—i łatwo się ich pozbyć. Za to w wysłowienie, a jak się zwy-

kłe u nas mówi, „język“, dialogowy jeszcze się autor nie wżył dostatecznie. Inaczej się pisze powieść, historią lub krytykę—inaczej dramat. Tu każda osoba musi mówić inaczej, musi mieć własny swój styl do charakteru, temperamentu, wyobraźni, do naczelnego swojego rysu etycznego i estetycznego (w pojęciu obszernym) zastosowany. Przytem styl dialogowy w ogóle nie może mieć tej ciągłości, równości i potoczności gramatycznej, jakiej wymagamy tam, gdzie autor sam od siebie przemawia. Styl dramatów musi być dośladniejszy, krótszy, zwężlejszy, trochę bezładny; gdy go na marmurową płytę praw języka rzucimy, nie zawsze wyda on dźwięk doskonały, ale zawsze pałać powinien życiem, do którego odтворzenia służy.

Dobrą stroną komedii p. Przybylskiego w tej postaci, w jakiej ją teatr nasz przedstawił, jest wstrzemięźliwość na punkcie motywów pornograficznych. Operetka paryzka nie wzięła jeszcze zdolności autora pod swój kierunek.

Sztukę grano jak należy. Gdzie bohaterami byli pp. Szymanowski, Wolski i Ostrowski, tam już wszystko dobrze iść musiało; tylko p. Grubiński powinien był trochę swego Niemca opieprzyć, a p. Sikorski znowu swojego szlachcica—umiarkować w pijaństwie. P. Tatarkiewiczowi należy się uznanie za doskonałe urządzenie wieczoru tańczącego w III akcie. *Wicek i Wacek* szcześliwsi byli od *Romea i Julii* podczas pierwszych wystąpień Modrzejewskiej u nas. Pamiętacie, czytelnicy, ów bal u Capulettich—w Pacanowie?

Stanisław Krzemiński

CZYTANIE DLA DZIECI I MŁODOCIANEGO WIEKU.

Pierwsze książki przeznaczone na kolendową gwiazdkę dla młodego świata czytelników, już się pojawiać zaczynają. Od lat kilku ciągnące się wydawnictwo księgarni F. Höicka: *Biblioteczka obrazkowa dla małych dzieci*, przynosi nowość, i bardzo ładnie wyglądającą, i treści, która może sympatycznie pociągać. *Bajarz Polski* to wybór bajek z różnych naszych pisarzy, dokonany jeszcze przez Wójcickiego w roku 1877 i z jego do czytelników przedmową. Wzrusza mimowolnie myśl, że ręka kreśląca te wyrazy, już dawno w proch się rozsypała, ale to, co było pisarza cechą i zasługą: zwrot w przeszłość i przypominanie jej ludziom, zaraz na wstępie się przedstawia. Początek książki mieści krucielne biograficzne objaśnienie młodego czytelnika co do każdego z pisarzy, których utwory w dalszym ciągu podane sobie znajdzie, a przytem cztery portrety w drzeworycie: Krasickiego, Trembeckiego, Naruszewicza i Niemcewicza. Żałuje się mimowoli, że to już wszystkie, że nie wyrzy tu jeszcze do młodego czytelnika kilka szlachetnych twarzy: Książnina, Góreckiego, Morawskiego, których utwory będzie później czytał. Ale dobre jest i to, co jest. Text bajek ilustruje ośm bardzo ładnych rycin kolorowych do przekładów ze starego Ezopa, przecież zająć tu musiało jakieś nieporozumienie, albo wybór przez Wójcickiego uczyniony już po jego śmierci pomnożonym został, bo przedmowa kładzie właśnie nacisk na to, że „same tylko oryginalne utwory naszych poetów“ książka obejmuje.

Ładne inicjały bardzo wdzięcznie książkę zdobią, całe wydanie jest wogóle bardzo staranne i ozdobne; przytem chwali się to wydawcy, że książka nie została drukowaną gdzieś za lasami, za górami—w Niemczech, jak to ongi było jego zwyczajem. Druk, bardzo dobry, jest braci Jeżyńskich (dawn. Ungra). I ze wszelkiego względu jest też to dobra kolenda, lecz nie koniecznie dla małych dzieci, w których *Biblioteczce* się znajduje; starsze nawet z większym pożytkiem bajki te czytać i niektórych na pamięć uczyć się mogą. Wielką ich zaletą jest dawny, jedyny, czysty język, na przykład Krasickiego, i dla tegosamego polecać można książkę rodzicom, dbającym o kształ-

cenie się dzieci w tym kierunku, którego ważność w edukacji jest niewątpliwą. Objasnienia biograficzne, bardzo krótkie—rodzice lub nauczyciele mogą, a nawet powinni czytającej młodzieży uzupełnić i rozszerzyć; da im to nawet sposobność do bardzo zajmującego opowiadania, które może stanowić przyjemne zajęcie kilku wieczorów, bo odpowiedniego materiału tu dość. Choćby też matka, lub ojciec musieli po pomoc pewną do jakiej dawnej historii literatury naszej sięgnąć opłaci im się to skutkiem tym dobrym, że dzieci ich i zajmujące rzeczy usłyszą i nabędą wiadomości bardzo pożytecznych—potrzebnych do zaokrąglenia ich naukowej wiedzy w kierunku nietylko literackim.

Drugie wydawnictwo księgarni Höicka: *Biblioteka ilustrowana dla młodzieży*, przynosi czytelnikom swoim na kolendę dwie, także dobre, książki. „Ziemia ognista“ należy do tej licznej literatury podróżniczych przygód młodych żeglarzy, których duchowym protoplastą jest Robinson Crusoe. Oryginał skreśliło pióro dobrego angielskiego pisarza dla młodzieży. Mayne Reid'a, przekładu dokonała redaktorka *Wieczorów Rodzinnych* M. I. Zalewska, zatem wie się już zawczasu, że rzecz jest dostatecznie zajmująca, względy pedagogiczne należyście przestrzegane, a język czysty i przyjemnie czytać się dający. Książkę ilustruje szesnaście drzeworytów; szkoda tylko, że niemal wszystkie odnoszą się więcej do akcyi powieściowej, niż podróżniczej, bo wtedy byłyby i ciekawsze dla czytelników i pod pewnym względem nauczające. Taki obrazek, jak na przykład, szereg bezłotków patagońskich, uszykowanych nad brzegiem morza, lub krajowcy z zawieszonymi na szyi pościami słoniny z wiewiórką, zajmie więcej niż inne i rozjaśni geograficzną wiedzę czytającego.

Dowiadujemy się z przedmowy tłómaczki, że Maine Reid już nieżyje, że ostatnia to jego powieść, wkrótce przed śmiercią napisana, co uważać można za niewątpliwą szkodę dla tej części literatury dla młodzieży, w której ona najwięcej gustuje i która jest pod wielu względami najpożądalszą, nie z tego nawet względu, że pewne wiadomości czytelnika rozszerza. Wielką korzyścią takich książek jest to, że się młodą wyobraźnię rozbudza, że się jej otwiera szersze, niż codziennego życia, widnokręgi, że przedstawia się umysłem, zwłaszcza chłopcom, obrazy energicznej, przedsiębiorczej jakiejś działalności. Tam szczególnie, gdzie dom otacza dziecko tylko konwencyonalnem, przez niską skalę pragnień i nadziei ograniczonem, życiem, książki tego rodzaju, są jakgdyby technieniem świeżego, jędrnego powietrza, któreby wpuszczono do zamkniętego pokoju, z duszną, gorącą atmosferą. Jak smak do pewnych potraw bywa często wskazówką potrzeb organizmu fizycznego, tak tu jest nią zamilowanie młodzieży do tego rodzaju czytania, i choćby czytający nie spotkał tu nigdzie morału, wręcz mu danego (co go najczęściej nudzi), to cała taka książka jest umoralniającą przez to, co rozbudza. Pragnęłabym, aby wszystkim synom matek elegantek, dam arcy-salonowych, dostawały się szczęśliwym trafem książki takie, lub tym podobne—u których ludzie pożądają czegoś więcej nad wykwint i wygodę, do czegoś się rwą i cierpią pracując, życie dla tego wazą.

Szkoda wielka, że u nas w tym kierunku pisarzy dla młodzieży niema i prócz nieocenionych przeróbek Laskarysa „Pamiętniki Paska“, „Pamiętniki starego szlachcica“, nie oryginalnego nie posiadamy. A czyby to i w Polu nie znalazło się coś materiału do podobnego przystosowania? Bardzo wdzięczne i poczytne byłyby to rzeczy, na przykład na tle jego podróży w Karpaty napisana powiastka, ze wspaniałym obrazem przygód w Czarnym Lesie na Beskidach „Listy z naukowej podróży po kraju“ tom X. Co tu pola dla fantazyi co dramatyczności! obrazy natury najwspanialsze, gospodarowanie wśród niej górali, palenie lasów dla wytwarzania pastwisk.... A opryszki węgierskie, a nasz Dobosz! Toż to skarby w tym rodzaju, a nawet i bez przeróbek dzieła Pola (wydanie zbiorowe, tomów X) stanowić mogą z niewielkimi wyjątkami najlepsze, jakie obmyślić można, czytanie dla młodzieży. Że

przytem poeta to był i geograf—może z miłości dla natury swojskiej, więc młody czytelnik znajdzie tu i naukę i tę malowniczość dramatyczną, której młoda wyobraźnia łaknie dlatego, że jej do dobrego rozwoju duchowego potrzeba tego pokarmu — potrzeba jej czegoś, co myśl uskrzydla, czegoś, co po za ubite, wąskie, duszne ścieżki powszedniego istnienia sięga i staje się dla młodej fantazyi ożywiającem światowaniem.

Pragnęłabym, aby w każdej bibliotece domowej znajdowały się dzieła Pola, z których za wskazówką starszych młode pokolenie czerpać-by mogło z korzyścią i przyjemnością największą. Prawda, że wydanie nie jest już wyczerpane. nabył je w całości od lwowskiego wydawcy, Richtera, jeden z warszawskich księgarzy, ale w każdym razie przedruk nie jest rzeczą niemożliwą a przytem znajduje się często u antykwaryuszów to, czego już w księgarni nakładowej braknie i dobrą, najlepszą *Gwiazdkę* młodej swej rodzinie da ten, kto ją zapozna z przystępną dla niej częścią poezyi i podróży Pola po Karpatach.

Wracając do wydawnictw p. Hösicka spotykamy się w *Bibliotece ilustrowanej dla młodzieży* z nowem, a przynajmniej mało znanem nazwiskiem autorki, która napisała dla dorastających dziewcząt książkę—bardzo dobrą! Składają się na nią dwie powieści, związane pewnym węzłem tożsamości niektórych osób, występujących w obu powieściach, i ważniejszym węzłem jednej myśli, przeprowadzonej przez dwa, w moralnym gruncie rzeczy podobne do siebie położenia życiowe, odmienne tylko przez zewnętrzne okoliczności miejskich i wiejskich stosunków. *Reginka i Prawdziwe bogactwo* przez Bronisławę Porawską, to młodość postawiona wobec trudnych warunków pracy na chleb, broniącej od zapadnięcia w nędzę wraz z drogiemi sercu naszym istotami. *Reginka*, to starsza siostra osierociałego rodzeństwa, przez dobrą wolę odważnego, tkliwego serca opiekunka biednej gromadki dzieci po urzędniku, który najpierw spadł z etatu, a potem przez trudniejszą pracę i troskę o przyszłość podkopany, zamknął zmęczone oczy. Żywioł dramatyczny i zarazem nowy w powieściach dla młodego wieku, przedstawia brat, wiekiem, jakoby rówieśnik tej dobrej siostry—egoista, który zrazu w imię własnej nauki, a potem własnego dobrobytu oddziela swój los od losu rodziny. Dochodzi do zamożności i stanowiska w świecie, otrzymuje więc to, co było celem jego pragnień, ale...

Ale widzi, że jest opinia, która karze takie zboczenia moralne, piętnując pogardą zimnych samolubów; widzi, że trzebaby mu było w końcu zerwać ze światem uczciwych ludzi, a przytem uczuwa wyrzuty sumienia, coraz silniej bolesne, coraz silniej piekące, i pod ich wpływem — pod wpływem tych dwóch czynników: uczciwego wstydu i bólu serca, wraca do rodzinnego koła, drży na widok wszystkich okrutnych następstw, któreby się powlokły złowieszczem łańcuchem za jedną winę jego, i uszlachetniony, podniesiony sercem przez żal prawdziwy, otrzymuje przebaczenie i zwróconą mu miłość rodzeństwa.

Ze wszystko to jest napisane dobrze i z prawdziwym uczuciem, — całość czyta się z zajęciem, tylko autorka popełniła jeden błąd, który jest razem literackim i pedagogicznym. Niepotrzebną jest w książce, która chce i powinna być tendencyjną, ta pomoc losu, który w grę wchodzi pod postacią niespodziewanie się zjawiającej i jedno z sierot adoptującej sąsiadki. Trzeba było lepiej ciężar, obarczający *Reginkę*, tak odmierzyć, aby go mogły unieść przez miłość silne i odważne barki jedne, niż potem używać środka, który, gdy błąd ten wytykano w starejsztuce, nazywano go „*Deus ex machina*,” a który jest zarazem niepedagogicznym, bo ci, którym trzeba ciężko walczyć z trudnem położeniem, nie powinni spuszczać się na los, na przypadek, na nieszczęsne: *jakoś to będzie!*... Gdyby autorka była tu zaznaczyła przecież, że ofiara, uczucie obowiązku *Reginki* nie chce się z niczem liczyć, a potem dobroć ludzka, która nigdy w świecie nie zaginie—współczucie dla cnoty i poświęcenia przychodzi

jej z pomocą—byłoby to na inny sposób dobrze—nawet bardzo dobrze, bo młodość powinna o tem wiedzieć, że ludzkość brana ogółem jest więcej dobrą, niżeli złą, że zawsze czci ona cnotę i współczuje ze szlachetną ofiarą siebie na korzyść uczucia, lub idei wyższej. Może być nawet, że autorka myśl tę miała, ale nie zaznaczyła jej dość wyraźnie — zwłaszcza tak wyraźnie, aby młody czytelnik znalazł ją i zrozumiał.

Prawdziwe bogactwo ma tę wyższość nad pierwszą powiastką, że przedstawia wybitniej położenie, wytworzone przez nowe stosunki układu społecznego, więc rzecz daje świeżość wrażeń i obrazów. Jest tu rodzina ziemiańska, średniozamożna, która nagle schodzi do biedy. Trzeba się wynieść ze starego ukochanego domu, trzeba iść w świat i szukać tam pracy. Gdzie przecież i jakie to będą warunki tej pracy? I rzucić miejsca drogie! Starsza córka, odważnie woła: nie!... za resztę pozostałego mienia, do czego włączają się i klejnociki posiadane, świecidełka z dawnych czasów, kupuje się w drogiej sobie wiosce dom—smutny, stojący wśród pustki, bez ogródka i uweleśnającej wzrok zieleni, ale są położenia, w których wybredność, nawet estetyczna, jest i winą i nierozsądkiem.

Ogródek się zakłada do koła domu, a w domu samym prowadzi się warsztat pracy. Owa starsza córka, Hanna, otwiera najpierw szwalnię, aby mieć zaraz zarobek jakisłkolwiek, szyjąc ubrania wieśniaczek. dalej rodzina wznaga się na założenie przy szwalni wiejskiego sklepu, a gdy druga z kolei siostra uzdalnia się na nauczycielkę wiejską, los rodziny, z matką już nie młodą i babką sędziwą, z rodzeństwem małym, zdaje się ugruntowany i zapewniony. Czytelnik doznaje też pewnego niemiłego zawodu, gdy autorka dmucha w końcu na to całe piękne dzieło, które w wyobraźni swej stworzyła i zwała je jak domek z kart. Jest ta wujaszek z Ameryki, który pozwolił na te ciężkie z losem zapasy, aby siostrzenice jego zahartowały się w ten sposób do walki z życiem i naraz wprowadza je z powrotem do starego dworu.

Ale nie, i stary dwór zburzył wujaszek ten amerykański, postawiwszy na jego miejscu piękny pałacyk i piękniejsze jeszcze sady i ogrody. I o to mam wielki żal do autorki, która mimo tych wad, pod pewnym względem niepedagogicznych, bo w umysły tych którym każemy opierać życie na pracy, nie należy wprowadzać myśli o jakiejś dramatycznej grze wypadków, które biedaków czynią bogaczami — mimo tych usterek napisała rzecz dobrą i zajmującą. Bardzo dobrze jest w ciąg książki wprowadzona rozprawka o wyższej i niższej pracy: — Każda uczciwa praca jest wyższą, bo każda uzacnia człowieka — mówi wujaszek z Ameryki i to jest jakoby motto powieści: *Prawdziwe bogactwo*.

Bardzo też pięknie mówi się tam o ideale i idealności. Wuj z Ameryki odzywa się do siostrzenicy tak, że go posłuchać warto: — Biednym jest ten, kto ma pragnienia, które spełnionemi być nie mogą, ale ty, Hanno, nazwałaś Terenię biedną dlatego, że jest idealistką i marzycielką. Otóż ja ci na to odpowiem, że biednym prawdziwie jest ten, kto w duszy nie piastuje żadnych ideałów. Ideał, dziewczyno, to coś doskonałego, wyższego, szlachetnego, to cel jakiś wzniosły, który mamy przed oczyma, do którego powinniśmy dążyć wszyscy. Alboż ty, Hanko, w pracy twej, w poświęceniu miłości dla matki i rodziny, nie jesteś idealistką? Marzycielstwo to rzecz inna; marząc bezczynnie, nie dojdziemy nigdy do niczego, marzeniem nazywamy też zamysły które się nigdy spełnić, przez nas osiągnąć nie dadzą, lecz mi się zdaje, żeś niestęśnie nazwała Terenię marzycielką. Prawda, że Terenia nie weszła od razu na drogę pracy i obowiązku, jak to ty uczyniłaś, nie otrzęsła się z chęci, która ją ciągnęła do zajęć i pracy natury innej, niż ta która na razie cięleb daje, ale i Tereni dążności są te same, co twoje... (aby dlatego co jej drogie przez miłość, co z nią związane przez obowiązek, pracę swoją poświęcić).

Pięknie, to szlachetnie, rozumnie jest napisane. *Prawdziwe bogactwo* posiada niewątpliwie skarby, które ubogacają życie, i dlatego tytuł jest

bardzo dobrze dobrany, a książka p. Br. Porawskiej bardzo dobrą jest książką. Wydanie obu powieści przyzwoite, porządne i staranne, choć nie zbyt dobre — czyli takie, jakiego potrzeba. Druk miejscowy, korekta dobra.

(Dokończenie nastąpi)

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Przejście tajemniczych ciał czarnych przed tarczą słoneczną. — Piorun w fabryce Gobelinów. — Promieniowanie nocne w czasie pełni księżycowych przyczyną szkód w rolnictwie. — Jak należy obchodzić się z lampami naftowymi? — Stosunki zachodzące między ozonem a epidemiami. — Sposób wytopienia szkodliwych gruntem skrzypów. — Korzyści wynikające z żywienia inwentarza żywego pokarmami gotowanymi. — Zbadanie Afryki równikowej, przez panów Capello i Ivens'a. — Podróż Brazzy do Afryki. Nowo-wykryte źródła Mississipi. — Obelisk Waszyngtona. — Waselina zastępująca masło.

(Dokończenie).

Rodzina królewska i całe prawie ciało dyplomatyczne było obecne na tem posiedzeniu. Badacze ci objaśniali swą podróż na karcie przez nich opracowanej; okazali, że Kubango jest dopływem Zambezi. Na karcie oznaczonym jest bieg tej rzeki i Kapondo z prawdopodobieństwem błędu dochodzącym 40 mil.

Banguelo jest formacją bagnistą, obejmującą dwa wielkie jeziora; jedno teje nazwy na Północy, drugie Bemba na Południu. Jest to miejsce w którym dokonał życia Livingstone.

Sprostowali też nasi wędrowcy podania odnoszące się do gór Muszynga i biegu rzeki Luapula, będącej w rzeczywistości tylko dopływem rzeki Lualaba.

Krajowcy Wyższej Zambezy uskarżali się przed nimi na ucisk Boerów i Białych z Północy. W chwili wręczenia sztandaru wyprawy Prezes Lizbońskiego Towarzystwa Geograficznego miał mowę, w której określił politykę kolonialną, jakiej Portugalia trzymać się winna.

Wpółśród nieopisanego zapалу, król portugalski wręczył panom Capello i Ivens medale złote. Opuściwszy Lizbonę, badacze ci udali się do Paryża i byli tu gorąco przyjmowani na posiedzeniu Towarzystwa Geograficznego, które odbyło się pod prezydencją Lesseps'a.

W żywych słowach uznania słynny inżynier dziękował im za trudy podjęte w imię nauki i winał szczęśliwego przebycia wielu niebezpieczeństw na ziemi afrykańskiej.

Następnie Ivens zabrał głos, opisując w barwnych szczegółach nieznaną ląd.

„Przebaccie mi, panowie—dodał w końcu—że moje opowiadanie nacechowane jest smutkiem; jest to rezultat straszliwych cierpień, jakie przeżyliśmy, cierpień głodowych.“

Mówiąc o Kongo, Ivens oświadczył, że nie może rokować pomyślnego rozwoju tej krainie w przyszłości z powodu jego zabójczego klimatu. Mówca wyraził nadto wielką wątpliwość w przedmiocie urządzenia komunikacji, naprzykład, drogi żelaznej, na brzegach Kongo, gdyż roboty, jakie należałoby tu wykonać, wymagałyby kolosalnej pracy i olbrzymiego kapitału. Według niego o podobnem przedsiębiorstwie marzyć nie podobna.

Afrykę równikową, oprócz panów Capello i Ivens'a, zwiedzali i inni wędrowcy, lecz żadna z ich wypraw nie miała tej doniosłości i znaczenia, co obecna, tak z punktu widzenia naukowego, jak i cywilizacyjnego. Przedsięwzięli ją głównie w interesie swego kraju, gdyż rząd portugalski poniósł wszystkie koszty wyprawy, upelnomocnił ich do poszukiwań i zbadania wielkich rynków handlu afrykańskiego, z którymi można byłoby zawiązać stosunki handlowe.

Opowiadanie Ivens'a było rzeczywistą epopeją,

w której każdy epizod, każdy szczegół, wzruszał do głębi. Ivens obrazuje pustynię z jej ziemią rozpaloną od żaru słonecznego, z jej lasami zapelnionymi przez słonie i straszliwą muchą *Tsetse*, której ukąszenie jest śmiertelnym dla bydła. Ivens opowiada o trudach podróży, o udręczeniach głodu, męczarniach pragnienia, o nocach spędzonych bez snu i dniach bez spoczynku, i uzupełnia ten smutny obraz, opisem obyczajów ludów dzikich, wśród których z przyjacielem swym przebywał.

W okolicach rzek i jezior widownia kraju całkiem się zmienia, pomimo to pochod przezeń na każdym kroku napotyka przeszkody trudne do pokonania. Wyprawa zmuszoną była torować sobie drogę z toporem w rękę, przez lasy gęsto zarzewione. Pięćdziesięciu czterech ludzi utraciło życie w tej podróży, w skutek znużenia, uporczywej zimnicy i szalonego upału. Piętnaście miesięcy trwał powrót nieustraszonych wędrowców złamanych tylko fizycznie, wśród tysiąca niebezpieczeństw. Przybyli wreszcie wyczerpani z sił do Quileniano przy ujściu Zambezy.

Ivens dziękował Francji, że zawsze staje na czele ras romańskich.

Lesseps raz jeszcze winał wędrowcom, że zdołali przezwyciężyć wszystkie cierpienia w tej długiej podróży i zaznaczył, że pierwsi Portugalczycy odkryli drogę do krańców Wschodu i przylądek Dobrej Nadziei.

Minister portugalski dziękował za zaszczytne słowa dla jego ojczyzny wypowiedziane przez Lesseps'a. „Jeżeli Portugalczycy — dodał — wykryli drogę do dalekiego Wschodu, to natomiast Lesseps zbliżył ku sobie odległości, przekopem między morza Suez.”

Założyciel kolonii francuskiej zachodnio-afrykańskiej, Brazza, wrócił z długiej swej wędrówki.

W ostatniej wyprawie wysłał do Ogue pana Fourneau, brata swego Jakóba Brazza, do kraju Adumas i Wyższego Likonu, sam zaś zbadał powtórnie kraj Alima z panem Decazes, eskortowany przez stu krajowców i przesłał p. Dolinie, zarządzającemu stacją Wyższego Kongo, potrzebne instrukcje.

Podczas podróży łódź Brazzy w okolicach Diele na Alimie wywróciła się; wszystkie narzędzia przepadły w toni, a Brazza dotknięty został ciężką chorobą. Dzięki swej silnej organizacyi, wyzdrowiał, lecz wkrótce potem gwałtowna zimnica zaważadła nim zupełnie; w tym też smutnym stanie zdrowia dotarł do stacji Alima, wychudły i z sił wyczerpany. Po kilku dniach odpoczynku, energiczny poróżnik w towarzystwie p. Chavannes wyruszył do Ubangi, zorganizował tam stację, zaopatrzył ją w żywność, poczem wylądował w Benane, przystani rzeki Oulumbo.

Brazza pozostawił posiadłości francuskie w tym kraju w stanie kwitnym a między innemi nowoutworzoną w Kongo, którą zajął i bez jednego strzału.

W ten też sposób: powinny zakładać się kolonie nie siłą zbrojną, nie walką i okrucieństwem, lecz ludzkim obchodzeniem się z krajowcami, drogą pokojową, cywilizacyjną.

Dotąd zachodziła wątpliwość względem rzeczywistego źródła rzeki Mississipi. Wątpliwość ta słusznie dziwić nas może, gdyż poszukiwanie źródeł tej wielkiej rzeki nie powinno przedstawiać tak wielkich trudności, jakie napotymano, na przykład, gdy chodziło o wykrycie źródeł Nilu.

Bądźco bądź do statnich czasów poczytywano jezioro Itaska za macierz Mississipi. W celu sprawdzenia tego mniemania, tak rozpowszechnionego, kapitan marynarki amerykańskiej, Glazier, zorganizował wyprawę, która w czółnach dotarła do jeziora Itaska, a następnie pod przewodnictwem starego Indianina dosięgła do drugiego olbrzymiego jeziora, które w rzeczywistości jest źródłem Mississipi. Jezioro to prze-

wyższa w wyniesieniu o dwa metry jezioro Itaska.

Przyjmując dane Glazier'a, rzeka Mississipi miałaby 5,126 kilometrów długości.

Trzydzieści siedm lat temu rozpoczęto budowę obelisku Waszyngtona; ukończono zaś ją dopiero w roku ubiegłym.

Twórcą pierwotnego projektu tego pomnika był Robert Mills; konstrukcją obelisk przypomina latarnię morską pomysłu pp. Bourdais i Sébillot, a potrosze i wieżę Eiffel'a. Według pierwotnego projektu, obelisk miał dochodzić około 180 metrów wysokości, i być otoczonym kolumnadą.

Projekt ten został następnie zmodyfikowanym: odrzucono kolumnadę i zredukowano wysokość obelisku do 150 metrów. W tych też warunkach budowano go, z tą tylko różnicą, że dodano *pyramidy* 16½ metrów wysokości mający, czyli, że wysokość całkowita pomnika wynosi 166½ metrów.

Fundamenta tej konstrukcyi tworzą głązy gnejsu. Podmurowanie części górnej dochodzi wysokości 23 metrów niżej poziomu i przedstawia kształt pnia piramidy czworokątnej, 7 metrów wysokiej, z podstawą dolną około 24 metrów, i górną, dochodzącą 17,55 metrów wysokości. W 1854 roku osiągnięto wysokości 45,6 metrów, w 1856 roku 46,8 metrów.

Roboty następnie uległy przerwie dwudziestoletniej, to jest od roku 1857 do 1877-go. W tym ostatnim roku towarzystwo zajmujące się wzniesieniem pomnika Waszyngtonowi odstąpiło swe prawa rządowi Stanów Zjednoczonych, i roboty rozpoczęto nanowo w 1878 roku pod kierunkiem Tomasza Lincoln Casey'a. Fundamenta gnejsowe w tym czasie wzmocniono betonem, roboty przeciągnęły się do 1885 r., w którym prowadzone były z wielką energią. W środku pomnika urządzono wschody żelazne.

Koszt wzniesienia pomnika wynosi poważną sumę 5,938,550 franków; mieści się w niej 1,500,000 franków, wydatkowanych przez towarzystwo prywatne, które rozpoczynało budowę obelisku.

Waselina jest wydzieliną osadów wytworzonych z dystylacyi nafty. Jestto produkt, który swym wyglądem spójnością i własnościami, właściwymi tłuszczom, przypomina sadło. Ponieważ sadło tego rodzaju nigdy nie jęlczeje, zalecano je do wyrabiania maści leczniczych, pomad i różnych kosmetyków. Używano go do gojenia zadrażeń skórnych, a między innemi do leczenia świerzby.

Nie poprzestając na tych użytkach, korzystano z waseliny, posługując się nią w leczeniu chorób dróg oddechowych. Rezultaty nie okazały się dość pomyślnymi; medykament ten bowiem mógł tylko oddziaływać dobroczynnie, będąc użytym zewnątrz. Bez względu na to zastosowali je w swej sztuce piekarze i cukiernicy. Panowie ci nie troszczyli się o to bynajmniej, czy waselina szkodzi naszym płucm i żołądkowi. Poprzedzili na tem, że posiada ona pewne własności masła, a jest od niego nierównie tańszą — i zaczęli wysmażać na niej ciastka — wypiekać bułki masłane.

Waselina nie jęlczeje, jak masło, mówili sobie ci przemysłowcy — daje się przez długi czas bez zepsucia przechowywać: dla czegożby nie użyć jej do wyrobu ciasta, któremu nie nadaje przecież żadnego nieprzyjemnego smaku?

Inaczej wszelako zapatrywała się na ten przedmiot Rada higieniczna departamentu Sekwany, gdyż wzbroniła użycia waseliny w wyrobie ciast i wogóle materii pokarmowych.

Postanowienie to wydano, opierając się na tym fakcie, że masło ma nie posiada żadnych własności odżywiających tłuszczów i masła, a niemniej ze względu, że działanie produktów ubocznych nafty w ekonomii zwierzęcej, nie jest jeszcze dokładnie znanem. Nikt też nie może

orzec, czy produkty te wewnątrz przyjęte, nie będą szkodzić zdrowiu.

Ostrożnie więc z waseliną.

W. Niewiadomski.

Kronika działalności kobiecej.

— Na zimowy kurs praktycznej nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa przy Muzeum Pszelnictwa na Koszykach zapisało się uczennic 22 (uczniów 28).

— Na konkursie Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, wyznaczonym na kompozycje muzyczne, otrzymała nagrodę trzecią p. Leokadya z Myszyńskich Wojciechowska za „Krakowiaka”. Pierwszej nie dano nikomu z powodu, że trzy utwory, zasługujące na to, nie odpowiadały warunkom konkursu: były za trudne do wykonania dla amatorów. Drugą nagrodę przyznano p. Pawłowi Romenko za „Gawota”. Nadesłanych kompozycyji było 44.

— „Kurier Warszawski” donosi, o sklepie wyrobów włoczańskich, który zamierza otworzyć w mieście naszym szlachetna jakaś pani (K.), dla ułatwienia zbytu wyrobom ręcznego przemysłu wiejskiego. Dodać należy, że czyn to ma być dobrej woli obywatelskiej, wolny od myśli własnej korzyści.

— Dziennik Łódzki podnosi smutną a odwieczną sprawę małego zarobku szwaczek, pracujących za pośrednictwem osób trzecich, które stawiają się między robotnicą, a publicznością. Ale w Łodzi sprawa ta weszła w stan pewnej, nowej odmiany. Pośredniczki tamtejsze nie mają wcale sklepu ubiorów, ani magazynu strojów, lub szwalni, i są to tylko przedsiębiorczynie, które podejmują się, na przykład, wykonania całej wyprawy w części bielizny, i rozdają ją partjami do szycia pojedynczym szwaczkom, pracującym w domach, a których zarobek „jest bardzo mały”, „gdy jego „część lwia” dostaje się przedsiębiorczyni. Szwaczki te, jak pisze „Dziennik Łódzki” — zarabiają mniej, niżeli gdyby pracowały w szwalniach, ale „zarobku potrzebują”, przyjmują więc wszelkie, podane im warunki i w tem jest główna nieuczciwość wyzysku tych biednych robotnic domowych, które, ze względu na swe rodzinne obowiązki, domu opuścić nie mogą. Osoba utrzymująca szwalnię lub sklep z bielizną, płaci drogie komorne i podatek procederowy, przytem wykłada i poniekąd ryzykuje kapitał, koniecznie potrzebny na założenie i utrzymanie podobnego zakładu: musi więc potraczać na to z zarobku szwaczki procent jakiś, a przy dzisiejszej konkurencyi, która reguluje i obniża, często do ostatniej możliwości, ceny gotowego towaru, odbija się to bardzo ciężko na płacy robotnic. Tu przecież znika to wszystko: pośredniczka nie wykłada nic naprzód, więc nie ma prawa do żadnego procentu, i nie też nie ryzykuje, jeżeli powierza robotę szwaczce odpowiednio uzdolnionej, co już od niej samej zależy — zatem powinna odliczyć sobie tylko tę część wynagrodzenia, która się jej należy za czas i trud, przy pośredniczeniu poniesiony. Co po nadto chciwość jej wydziera, jest krzywdą szwaczki, jest ceną jej gorącego potu, więc handlowaniem istotą ludzką.

— W dniu 22 Październ., francuski minister oświecenia, Goblet, doręczył krzyż Legii Honorowej Joannie Paulinie Dieulafoy, żonie zasłużonego podróżnika francuskiego po Persyi, która stale mu towarzyszyła w jego naukowych — niebezpiecznych i dalekich wyprawach, i poszukiwaniach starożytnych szczątków, zagrzebanej w gruzach cywilizacyi państw azjatyckich, Pani ta, z domu Raché-Paule Margré, otrzymała najwyższą we Francyi oznakę odznaczenia publicznego w charakterze pracowitej i poświęconej pomocnicy męża swego w jego naukowej misyi, zwłaszcza przy odkopaliskach Suzy, w którym-to celu nauczyła się nie tylko arabskiego i perskie-

go języka, ale i licznych dyalektów, tak, że przy trudnej i mozolnej pracy rozkopywania zapadłych w łono ziemi gruzów, mogła się porozumiewać z zajętymi tu robotnikami w liczbie czterystu, mogła im udzielać wskazówek i kierować robotami.

Mąż złożył na nią niemal cały trud wykonawczej pracy swego przedsięwzięcia, sam pogrążony w badaniach archeologicznych, które zabierały mu dnie całe. Nietylko wielkiej inteligencji, wytrwałości i pracy męskiej trzeba jej tu było, ale bywały chwile, w których rozwijać musiała nie niewieściami siłę ducha, dzielność i przytomność umysłu w obronie swej czci i życia. Prócz tego wspomagać jej było trzeba męża i w innym jeszcze kierunku: każdy odkopany kamień, każdy szczątek muru, i przedmiot odkryty przenosiła natychmiast na papier farbami wodnymi, aby potem odtworzyć z tego złożoną razem całość odkopanego pałacu. Obecnie uczony świat paryżki ogląda w Luwrze przywiezione przez małżonków Dieulafoy wspańiałe wykopaliska tych okazy. Ośmdziesiąt stóp długą fryzję z emaliowanej cegły, uderzającą bogatym i wielce harmonijnym kolorytem, a przedstawiającą dwa hufce wojowników, zdaje się przyboczną straż Daryusza, złożoną z murzynów i ludzi białych rasy aryjskiej, w odzieniu, przypominającym grecką szatę z odległej starożytności. Znajdują się tam jeszcze dwa potężne złomy kamienne, które razem tworzyć musiały kapitel jednej z olbrzymich Xerxesowych kolumn w Persepolis. Jest tam jeszcze część brązowej bramy pałacu persepolskiego, jest mnóstwo urn, waz, rżniętych kamieni, a między temi uczeni starożytnicy domyślają się pieczęci Artaxerksa.

Wszystko to jeszcze nie rozgatkowane, nie rozmieszczone należycie, i szersza publiczność nie ma też jeszcze przystępu do tych skarbów, wydartych z grobu przeszłości; ale można powiedzieć, że cały Paryż święci tryumf tej kobiety odważnej i dzielnej, a razem przedstawiającej wzór poświęcenia i miłości małżeńskiej, która wspólnie z mężem zdobyła Francji te bogate i pod względem nauk historycznych nieocenione nabytki. Czytelnicy naszego pisma znają niedawno im przedstawioną historję całego szeregu tych francuzkich niewiast wielkiego serca, których piersi zdobi zaszczytny znak Legii Honorowej, udzielonej obecnie Joannie Dieulafoy, trzynastej z rzędu żyjącej kawalerce tego orderu. Ośm z nich, są to służebnice Chrystusowe, poświęcone ofiarniczo dziełom miłości bliźniego, siostry miłosierdzia. Róża Bonheur malarka, ozdobiona w 1865 r., przez cesarza Eugenia, przedstawia tu sztukę, trzy pozostałe gorącą miłość francuzkiej ojczyzny. Julia Dodu, telegrafistka w Chateaudun, skazana na śmierć przez Prusaków za ratujące ziomków swych przecięcie drutu telegraficznego, który byłby poniósł depechę fałszywą i ściągającą ich zdradliwie w zasadzkę. Teresa Jarrethout markietanka, która towarzyszyła mężowi na wojnę włoską i tam wydarła z rąk Niemców sztandar swego pułku, a potem w wojnie francuzko-pruskiej, wzięta do niewoli w Metz, zawsze obok męża, byłaby poniosła śmierć za zastrzelenie pruskiego żołnierza, który urągał Francji, gdyby nie szlachetne wdanie się księcia Karola Fryderyka; wreszcie Elżbieta Frary Gros, poświęcają się w czasie oblężenia Paryża ratowaniu rannych i chorych. Joanna Dieulafoy, to uczonego i dla chwały ojczyzny swojej poświęcającego się męża wierna żona—kobieta wysokiej zasługi przez energią i uczucie w szlachetnym kierunku działająca.

— Francuzka, rodem z Alzacyi, zamieszkała obecnie poza granicami swej rodzinnej prowincyi,

Joanna Tousin, uczyniła się głosem, wołającym do swych współzemiańek, że groby żołnierzy francuzkich, poległych w ostatniej wojnie za Francją, a których zwłoki leżą w prowincjach zabranych, nie powinny porastać trawą i zielem dzikim. W skutek tego cztery mieszkanki stron tamtych: Adela i Marya Mezinger (matka i córka) Wiktorya Besançon, bratowa ostatniego francuzkiego mera w Metz, i Leonowa Simon, żona znanego we Francji miedziorytnika, zajęły się podzielną pracą pielęgnowania tych grobów samotnych, które zdobią zawsze kwitnące na nich kwiaty, a które w ostatni Dzień Zaduszny zostały całkowicie okryte wienieciami i zielonością, bo przykład pobudził w sercach ludzkich uczucie i zwrócił w tym kierunku myśl innych kobiet z okolicy. Dodać należy, że wiadomość o tem podaje korespondentka niemiecka z Alzacyi do kocięcego pisma: „Deutsche Hausfrauen Zeitung” i to bez burzającej się zółci podrażnionego uczucia, jakoby patryotyzmu, a przeciwnie napisane to jest z powagą i widocznym dla czytelnika wyrazem szacunku dla tych szlachetnych Francuzek. Jest ona zatem szlachetną Niemką: istotą zdolną zrozumieć piękność uczuć, godnych uznania przez serca nie barbarzyńskie. Wymień tu również należy nazwisko redaktorki czasopisma, które korespondencją przyjęło i zamieściło; jest nią znana filantropka, Lina Morgenstern. Fakt ogarnia zatem sześć pięknych, jako duchy ludzkie, postaci kobiecych.

— Angielska literatka i wychowawczyni, Mrs Pfeiffer, pisze i wkrótce drukować będzie studya w ważnym przedmiocie: oile dzisiejsza wyższa nauka kobiet oddziaływa na stan ich zdrowia, na rozwój ich fizyczności, i oile wpłynąć to może na ich przyszłość wobec naturalnego kobiety przeznaczenia, i jej przez społeczeństwo uznanych obowiązków?

— Nie licząc królowej Wiktoryi, Anglia uczciła dotąd dwie tylko kobiety wzniesionymi ich zasługom pomnikami. Pierwszą z nich jest Gracya Darling, której dzieje znane są czytelnikom naszym, i która, zanim dostąpiła po śmierci zaszczytu tej czci publicznej, otrzymała za życia uczcowanie przez usta królowej ręki, ratującej zotchłani, morskiej istnienia bliźnich swoich. Drugą Angielką, zaszczyconą pomnikiem jest Florencya Nightingale, bohaterka z czasów Wojny Krymskiej, kobieta wielkiego serca, szlachetna pani, która się uczyniła siostrą miłosierdzia, zorganizowała w ojczyźnie swojej tę obywatelską i chrześcijańską służbę kobiety i choć nie związała się ślubem żadnym, wytrwała na stanowisku swoim, i trwa na nim dotąd, podeszła już wiekiem, a uczynna jeszcze i wysoce użyteczna. Posąg jej stanął na jednym z placów Londynu. Obecnie dźwignie się w Anglii pomnik trzeci, poświęcony uczczeniu kobiety a mający uwiecznić w narodzie pamięć anglikańskiej Siostry Miłosierdzia, siostry Dory, a wedle rodowego nazwiska Doroty Wyndlow Pattison, córki dostatnego domu z klasy wyższej, a dodać trzeba kobiety bardzo pięknej, jak to okazują jej podobizny, podawane obecnie przez wszystkie ilustrowane pisma angielskie, gdy śmierć przypomniałszy ją ludziom, uprzytomniła im jej wielkie zasługi, jej czynów wieloletniego miłosierdzia. Pomnik siostry Dory stanie na miejscu jej poświęconej pracy: w miasteczku Walsall w hrabstwie Stafford, między ubogim ludem górników, którym poświęcała życie. Nie była to—jak piszą jej biografowie—natury głównie tkliwa, słodka, łagodna. Wybitnymi rysami jej charakteru była wielka, choć cicha siła woli, energia w pracy, której się

oddawała, wytrwałość w niej, co łączyła z niezmierną żywością umysłu, z jego polotem niezmęczonym wśród pracy trudnej i mogącej przygniatać z żywotnością zadziwiającą.

Zatem siła była w niej wielka, i prawie uparta, dążyła cicho, ale nieustannie do obranego celu, który umiała uczynić sobie zapełnieniem samotnego życia. Entuzjastka, zwłaszcza za lat młodych, chciała jechać za Florencją Nightingale do Krymu, ale ojciec nie pozwolił na to i dopiero mając lat 29, zapragnęła już wieść życie kierujące się własną wolą i opuściła dom rodzinny, aby zostać nauczycielką ludową w wiosce małej i ubogiej „Little Woolstone,” gdzie przez trzy lata mieszkała w bardzo ubogim domku szkoły, nie mając nawet sługi. W życiu jej, jak napomykają biografowie, była jakaś miłość nieszczęśliwa—jedna na życie całe: znać, że i tu ojciec stanął między nią a szczęściem. Oddana całkowicie poświęconej służbie biednego dziecka ludu; czuła w sobie przecież niekiedy jakgdyby pustkę i gubienie się wśród niej duszy „forlornness of soul” i w r. 1864 wstąpiła do zgromadzenia Sióstr Miłosierdnych, a po rocznym nowicyacie została posłaną do Walsall, górskiego miasteczka, położonego wśród kopaliń i pieców fabrycznych, gdzie piersi oddychają wiecznym dymem, a sadze czernią wszystko i tamują życie roślinności. Kazano jej obsługiwać tam szpitali pełniła posłuszenie tę służbę, w której zaraz na początku spotkała się z ciężkim doświadczeniem: szerzyła się epidemia ospy, ona zaraziła się nią przy łóżku chorych i przebyła okrutną chorobę, która zostawiła ślady swoje na pięknem licu niestarej jeszcze, bo trzydziestoletniej kobiety. Po tem przejściu ciężkiem, nastąpiło inne: górnicy, których chciała umoralnić, zapalali przeciw niej gniewem. Rozżalała się nad losem ich żon i dzieci, usiłowała przemawiać do nich za niemi i raz o mało-co nie została zamordowaną przez uniesionych gniewem. Podburzyli na nią całą ludność; te kobiety nawet, w imię których występowała, choć skarżące się na dolę swoją, stanęły nagle po stronie mężów, skoro rzecz się zaogniła. Ona usunęła się w cień na chwilę, ale gdy namiętności przycichły, wróciła znowu ze słowami miłości i pokoju, aż zwyciężyła nienawiść; podbiła serca, podniosła je, uszlachetniła i żyła już odtąd w tym świecie ubóstwa, ciemnoty, wśród czerniącego wszystko dymu, i grubych, posępnych obyczajów. Żyła i umarła samotna, a zasługi jej pracy, którą zapełniła sobie życie, są takie, że mający się wznieść jej posąg już jest stawiany nie przez pewne koła i ludność jednego miasta, lub okolicy, ale przez ogół cały, przez Naród Angielski i w takich warunkach, że dzienniki londyńskie piszą, jakoby to był pierwszy posąg, postawiony w Anglii kobiecie, nie pochodzącej z królewskiego rodu: „The first statue erected in England to a woman, not of royal lineage.”

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tyt.: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

TREŚĆ. Ciężkie czasy, III, przez M. Illicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Przegad teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Czytanie dla dzieci i młodocianego wieku, przez M. Illicką. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — 23 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycją stołu.